

JA.
BOLESŁAW KOZUB (8)

Kontynuuję opis wojennych losów pochodzącego z Racławic Bolesława Kozuba. Poznaliśmy już jego tułaczkę z Polski przez południową Europę do Francji, przeprawę do Anglii, intensywne szkolenie w tym kraju oraz wspomnienia z desantu na kontynent.

W uzupełnieniu opowieści Pana Bolesława, pragnę przypomnieć pewne fakty historyczne.

I Dywizja Pancerna dowodzona przez gen. Maczka stanowiła potężną siłę bojową. Do końca II wojny światowej była najsilniejszym związkiem taktycznym w dziejach oręża polskiego. Jej stan liczebny przedstawiał się następująco: 885 oficerów, 15.210 żołnierzy i podoficerów. Dysponowała najnowocześniejszym uzbrojeniem – 381 czołgami, 473 działami oraz 4.000 innych pojazdów mechanicznych. Dywizja została przerzucona z portów brytyjskich Tilbury i Southampton na kontynent na 30 transportowcach (m.in. „Hannibal”, „Robert-Henry”, „Samdel”, „Sam-houston”). Lądowanie nastąpiło w Normandii, na plaży w pobliżu Arromanches les Baines i Coursenlles. Dywizja wchodziła w skład 2 Korpusu Kanadyjskiego dowodzonego przez gen. G.B. Somonds'a.

Do historii przeszły słowa wypowiedziane przez gen. Maczka: „Żołnierz polski bić się może o wolność wielu narodów – umiera tylko dla Polski”.

Powróćmy do wspomnień Bolesława Kozuba.

Gdy czekaliśmy na lądowanie podano nam herbatę. Postawiłem go na chwilę i... już nie miałem herbaty. Kubek przewrócił się od wibracji wywołanych wstrząsami, wybuchami, detonacjami. Dostałem się na łódź wypełnioną sprzętem do budowy lotnisk i dróg. Szybko nabraliśmy prędkości i dotarliśmy na plażę. Po wylądowaniu musiałem błyskawicznie odstawić swój pojazd pancerny na miej-

sce postoju, by zrobić miejsce sprzętowi wyladowywanemu z kolejnych barek desantowych.

Od tej pory żołd był nam wypłacany w specjalnych, ciemnoniebieskich kwadratowych pieniądzach, jednakowych dla wszystkich wojsk alianckich. Każdego dnia otrzymywaliśmy po 50 szt. papierosów zapakowanych w metalowe pudełka. Dostawaliśmy także cukierki.

Posuwając się po lądzie napotykaliliśmy zniszczone, obrócone w gruzy miejscowości, widzieliśmy mnóstwo zniszczonego sprzętu wojskowego oraz zwłoki poległych żołnierzy, głównie niemieckich. Ich ciał nikt nie grzebał, nie było na to czasu...

Po pięciu dniach ruszyliśmy do boju. W moim samochodzie jechał zastępca dowódcy, por. Koźłarz. Poruszaliśmy się



Bolesław Kozub, 1944 r.

bez światła, powoli, często się zatrzymując. Z naprzeciwka podążały transporty z rannymi artylerzystami kanadyjskimi, którzy zostali pomyłkowo zbombardowani przez amerykańskie superfortece. Cały czas trwał ostrzał niemieckich pozycji, walczyły czołgi „Churchill”.

Kolejne dni były podobne: w dzień ogłuszająca kanonada artylerii, która tylko nieco przycichała nocą. Jadący ze mną por. Koźłarz musiał być wciąż w pobliżu saperów, więc co rusz zmieniałem kierunek jazdy. W końcu dotarliśmy do małej wioski Jort. To tutaj zginął mój kolega Janek Schubert, z którym uciekałem z Węgier. Został pochowany na miejscowym cmentarzu żołnierzy kanadyjskich, z dala od swego ojca, Powstańca Śląskiego, poległego w Rybniku.

Okolica była bardzo niebezpieczna. Niemcy używali groźnej broni – sprzężonych moździerzy, z których dwanaście czterociałowych pocisków siało strasznie spustoszenie. Jedna z takich „wiązanek” wybuchła, gdy wchodziliśmy do pewnego

budynku. Kilku moich kolegów zostało rannych, mnie zasłoniła brama. Niemcy atakowali też z powietrza.

Po pięciu dniach walki drużyny saperów liczyły nie po 12, lecz tylko po 7 żołnierzy. W piechocie i obsłudze czołgów straty były jeszcze większe. Wśród jeńców niemieckich byli także Polacy, którzy przechodzili na stronę alian-tów. Jednym z nich był Adaś, który doszedł do mojego plutonu i obsługiwał karabin maszynowy.



Emblemat Pierwszej Dywizji Pancernej gen. Maczka

Linia frontu zmieniała się bardzo często. Dochodziło do wielu pomyłek i bratobójczych

walk. Było tak m.in., gdy pojechałem z por. Koźłarzem do sztabu brygady. Przelatywało wówczas około tysiąca bombowców Lancaster, każdy z 10 tonami bomb. Pomimo, że nasze pozycje były zaznaczone świecami dymnymi koloru żółtego, niektóre samoloty pozbyły się ładunku nad nami. Po raz drugi miałem szczęście – uratował mnie wyłom w murze ogrodzenia, za którym zdążyłem się schronić.

Jedną z najcięższych bitew stoczyliśmy pod Falaise. Czołgi zapędziły się tak daleko, że zostały odcięte od piechoty. W pewnym momencie zabrakło piechurów do obrony tzw. maczugi Mont-Ormel. Zastąpiła ich m.in. moja kompania saperów.

Tu, pod Falaise, nasza dywizja połączyła się z nacierającymi od południa oddziałami amerykańskimi „zamykając” w worku wojska niemieckie. Było to historyczne zwycięstwo, może nawet ważniejsze niż późniejszy triumf pod Monte Cassino.

Po zakończeniu walk można było obejrzeć ogrom zniszczeń – zrujnowane domostwa, pogruchotany sprzęt, zakrwawione zwłoki ludzi i koni (Niemcy nadal używali koni jako zwierząt pociągowych, oszczędzając w ten sposób benzynę). Mnie najbardziej dziwiło, że większość niemieckich pojazdów wyladowana była różnymi towarami, m.in. odzieżą, pochodzącymi prawdopodobnie z rabunku.

Podczas mszy połowej dziękowaliśmy Panu Bogu za odniesione zwycięstwo. Modlitwę i pieśni polskich żołnierzy słyszeć było na pobojuwisku pół Normandii pełnych dojrzałego, lecz nie skoszonego, zboża.

Opowieści wysłuchał
ZYG MUNT KRZYSTANEK
Ciąg dalszy nastąpi